



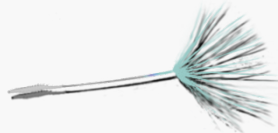
TADEUSZ
MICHROWSKI

OPOWIEŚCI SIEKIERKOWSKIE



Rozdział II

BURZA



Antoś nie pamiętał dnia swoich urodzin, lubił za to dostawać prezenty. Wiedział, że upominki od rodziców przychodziły zwykle wtedy, gdy na Siekierkach zjawiali się Żydzi. We wrześniu. Czasem krótko po nich, czasem przedtem.

Delikatne, jesienne promienie słońca wysuszały rosę, wiatr strącał suche liście z drzew, a Żydzi, Żydzi rozstawiali swoje szałas w sadach. Przez siedem dni mieszkali w nich, chodzili na procesje i zamykali się w środku, by wyrabiać macę. Święto to nazywano Sukkot.

Antoś próbował kiedyś tych placków, które dziwni goście przygotowywali w szałasach, ale nie były zbyt dobre. Chleb, nawet ten codzienny, z Siekierek smakował lepiej. Zaś pieczywo podawane ze specjalnych okazji biło go na głowę.

Chłopiec lubił też bardzo frykasy. Nie było dnia, żeby nie poszedł do sadu i nie zerwał jabłka, śliwki albo, o to dopiero było święto!, czereśni. Gdy nadchodziły mrozy, pałaszował przetwory dziadka. Smakowały jeszcze lepiej. W ogóle Antoś bardzo lubił zimy.

Zimą Siekierki były białe, a czasem różowe. Innym razem znowu srebrne. Albo szare.

Białe były za dnia, różowe nocą. Srebrne stawały się przy blasku pełnego księżycy, a szare w czasie roztopów.

Antoś z tęsknotą wyczekiwał zim. Tamtego roku zima też miała przyjść. Przychodziła zawsze.

Ale Żydzi już się na Siekierkach nie pojawili.

Kiedy tata wkładał mundur, słońce jeszcze nie wstało. Siekierki przybierały dopiero mętny kolor poranka, który sączył się słabo przez okna. Antoś nigdy nie wstawał tak wcześnie. Ale wtedy coś wyrwało go ze snu, jakieś poruszenie w pokoju obok. Obudził się i tupiąc lekko bosymi stópkami wszedł do kuchni. Ojciec stał tam. Wyglądał dumnie, wydawał się wielki i silny w szarym stroju strzelca. Jak w pieśni, którą czasem śpiewała Antosiovi matka. Cichutko, wprost do ucha.

Maszerują strzelcy, maszerują...

Ale wtedy matki tam nie było. Spała. Tata dostrzegł Antosia i uśmiechnął się do niego.

„Wracaj spać, Antosiu”, powiedział.

„Gdzie idziesz?”

Ojciec przestał się uśmiechać. Nim odpowiedział, zastanawiał się chwilę.

„Pobawić się. Tak jak ty z chłopcami na podwórku”.

„Będziecie biegać po łąkach i rzucać się kamykami?”

Wzruszył ramionami i poprawił kołnierz.

„Może tak być”.

„A w hacie? Będziecie grać w hacie?”

Tata spojrzał na niego. Jakoś tak dziwnie, smutno.

„Nie. W hacie chyba nie będziemy grać”.

A potem odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

„Idź spać, Antek. Idź już spać”, powiedział wychodząc.

I Antoś poszedł spać. Kładąc się usłyszał jeszcze tylko szczekanie Asa, wielkiego włochatego psa – kundelka, który żegnał się z panem.

W tamtym roku nikomu na Siekierkach nie urządzono urodzin. Żadne dziecko w okolicy nie dostało podarku, nawet najmniejszego. Żadna rodzina nie spotkała się, choćby i w najwęższym gronie, by uczcić tę okazję. Tylko Antosiovi mama zrobiła najhuczniejsze ze wszystkich urodzin jakie dotąd miał.

Tamtego dnia wybrali się na brzeg rzeki. Mieli znaleźć rybaków i spróbować kupić od nich lina lub ze dwa karasie na zupę. Wracali z wiaderkiem drobnicy, kiedy nagle rozległ się głośny, przesywający odgłos syreny. Jakby niebo pękało im nad głowami. A potem z tego pęknięcia z głośnym wizgiem wyłoniły się samoloty. Matka zdążyła tylko rzucić Antosia na ziemię i zakryć mu uszy.

Dwie wielkie eksplozje wyrwały znad Wisły ścianę wody. Kiedy ta opadła na chwilę, w przerwie między upadkiem kolejnych bomb, zdążyli zauważyć, że miejsce, w którym dotąd stały pogłębiarki jest zupełnie puste. Później huk wzmógł się jeszcze bardziej, a Antoś zaczął drżeć ze strachu. Wtedy mama na chwilę odsłoniła mu uszy i szepnęła do nich, tak cichutko jak zawsze do nich śpiewała, tuż przed snem.

„Antosiu, jest wrzesień”.

Kiwnął głową, nic nie mówiąc. Bał się bardzo i nie wiedział, czy zdołałby coś wykrztusić.

„To fajerwerki, Antosiu”, szeptała dalej mama. „Tylko fajerwerki, fajerwerki na twoje urodziny”.

I kiedy spojrział na nie w ten sposób, nagle ten chaos, te zlewające ziemię z niebem wybuchy wydały się wspaniałe. Fajerwerki. Wszystkie tylko dla niego

Później przyleciało jeszcze więcej samolotów i sztuczne ognie przeniosły się nad miasto, z tamtej strony, gdzie chyba zachodziło słońce. Zza dymu trudno je było dostrzec.

Gdy zrobiło się trochę spokojniej, matka zaciągnęła go za rękę do domu. Zrobiła to tak szybko, że musiał jej przypomnieć o rybach, inaczej by ich nie zabrali. Antoś pomyślał, że skoro to już są jego urodziny, to na pewno zaraz w sadach pojawią się szalasy. A w nich Żydzi w śmiesznych małych czapczkach, wcale nie zakrywających głowy.

Rzeczywiście, na Siekierkach wkrótce pojawili się goście. Wcale jednak nie wyglądali zabawnie.

W kolejnych dniach, fajerwerki powtarzały się coraz częściej i Antoś zaczął podejrzewać, że te nie są już dla niego na urodziny. Bał się podchodzić do okien. Huk eksplozji sprawił, że wszędzie leżało szkło z szyb pękających jak mydlane bańki. Mama przestała chodzić do pracy do fabryki ceraty i coraz dłużej wysiadywała w domu, całe dnie słuchając radia. Nie było w nim nic ciekawego. Nie grali muzyki, tylko ciągle gadali. Chłopiec zawsze wtedy wymykał się z domu, choć nie było to łatwe pod czujnym okiem dziadka. Chodził grać z innymi dziećmi w dwa ognie.

Z dnia na dzień partnerów do zabawy było coraz mniej.

Tydzień po wyjeździe ojca, kiedy Antoś ruszył samotnie przez Siekierki z żadnego domów nikt nie wyściubił nawet czubka nosa. Wokół także nie było nikogo znajomego. Po ulicach za to kręcili się mężczyźni w takich strojach, jakie nosił tata. Chłopiec chciał

spytać kogoś, czy może nie widzieli ojca, ale trochę się wstydził. Długo zbierał w sobie odwagę. Gdy wreszcie ją znalazł, podszedł do wysokiego pana. Pan ten stał przy wielkiej maszynie, miotającej w niebo fajerwerki. Spojrzał na Antosia dziwnie i nie dając mu nawet zacząć zdania zaraz odgonił.

Potem chłopiec długo krzątał się zasmucony po ulicy. Nie chciał wracać jeszcze do domu, a nie miał co robić sam. Wszystkie miejsca zabaw albo zniknęły albo zajęli je dorośli. Kiedy tak krążył, trafił wreszcie na dwie osoby, które zmierzały w przeciwną stronę. Obie znajome mu, jednak na co dzień nie miały ze sobą nic wspólnego. Widok ten był co najmniej zaskakujący. Katarzyna i Józio. Dotąd zdawało się, że dziewczyna nawet nie wie, że ktoś taki jak Józio istnieje. A jednak.

Józio był synem dorożkarzy z Warszawy, którzy przed kilkoma laty kupili w okolicy dom. Był gadatliwy i trochę bezczelny, ale miał też wielki talent: pomysłową głowę i zręczne palce. Ze wszystkiego potrafił zrobić zabawki. Kika drucików i pudełko od zapalek przemieniał w samochód, fragment blaszki i okruchy pękniętej donicy w ludzika. Niestety nigdy nie dzielił się tym, co zrobił. Zawsze chciał coś w zamian, „na handel”. Był najcwańszym siedmiolatkiem, jakiego znały Siekierki.

Katarzyna miała niedługo brać ślub z Mateuszem. Antoś pamiętał takie rzeczy, bo ostatnio sporo się o tym na Siekierkach mówiło. Dziewczyna spojrzała na chłopca tak, że zaraz skulił się w sobie.

„Co tu robisz, Antoś? Czemu nie siedzisz w domu?”

„A bo...”, zawahał się. „A bo wyszedłem się pobawić”.

„Nie wolno ci się teraz bawić!” Katarzyna prawie krzyknęła. „Nie widzisz, co się dzieje?”

„Co?”, spytał niewinnie.

Dziewczyna zdębiała. Nawet Józio wydawał się zdziwiony tą odpowiedzią.

„Jak to co?”

Antoś zaczął ze zdenerwowania miętolić palce i chować je za plecami. Bał się, kiedy krzyczeli na niego obcy. Katarzynę znał, ale i tak trochę się stresował.

„Mama powiedziała, że to zabawa... Że... takie fajerwerki. Jak na urodziny.”

„Chodź ze mną”. Chwyciła go za rękę i powiodła w stronę domu. „Widziałeś Jakuba?”, spytała.

„Jakuba?”

„Przestań odpowiadać pytaniem na pytanie”, skarciła go. „Tak, Jakuba. Pasterza.”

Pokręcił energicznie głową.

„Nie, nie wiedziałem.”

„Muszę go znaleźć”, powiedziała jakby do siebie. „Muszę go znaleźć i z nim porozmawiać. On by na to nie pozwolił.”

Antoś nie chciał pytać na co Jakub by nie pozwolił. Wszyscy wiedzieli, że Katarzyny lepiej nie denerwować, że jest zbyt charakterna. Zamiast tego spytał o te fajerwerki. Chciał zadać to pytanie mamie, ale Kasia była bliżej i też można było jej zaufać. Spytał więc dlaczego wciąż wybuchają, skoro jego urodziny chyba już minęły. Dziewczyna spojrzała na niego, nie przerywając marszu, a potem odwróciła głowę. Długo milczała.

„Przecież nie ty jeden masz urodziny, prawda?”, powiedziała wreszcie.

„Prawda”, kiwnął głową, rugając się w myślach, że nie wpadł na to wcześniej.

„No właśnie. A to... to jest rok fajerwerków”.

Byli już prawie pod domem.

„Idźcie dalej sami”, rozkazała. „Muszę iść, znaleźć Jakuba. On to naprawi.” Odwróciła się, żeby odejść, ale nie zrobiła tego.

„Antosiu”, zawołała go jeszcze. „Niedługo na Siekierkach będą się bawić dorośli.”

„Dorośli?” Był zaskoczony. Wcześniej zawsze mówili, że nie mają czasu się bawić.

„Tak, ale oni nie lubią, kiedy się im przeszkadza. Obiecuj, że będziesz słuchał mamy i schowasz się w domu. Obiecujesz?”

Kiwnął głową.

„A w co będą grać?”, spytał tylko.

Kasia uśmiechnęła się słabo.

„W dwa ognie. Będą grać w dwa ognie”, stwierdziła. A potem odeszła.

Antoś natychmiast pożałował, że złożył tę obietnicę. Uwielbiał dwa ognie.

Kiedy zostali sami, Józio spojrzał na niego z ukosa.

„Naiwniak”.

„Czemu tak mówisz?”

Może i miał siedem lat, więc był prawie dorosły, ale to nie znaczyło, żeby zaraz mógł pomiatać młodszymi.

„To wojna, Antek. Oni się będą bić.”

„Wcale tak nie wyglądają, jakby się mieli bić.”

Antoś widział parę razy bijących się dorosłych. Na weselu. Wcale nie mieli takich mundurów jak ci ludzie na Siekierkach i zwykle byli pijani. No i jeszcze fajerwerki. Przy bójkach nigdy nie było fajerwerków.

„Nie będzie żadnych dwóch ogni”, krzyknął Józio. „Będą strzelać i się zabijać, głupku!”

Martwego człowieka też raz widział. Brat dziadka upadł w kuchni i nie chciał wstać. Rodzice powiedzieli potem, że miał zawał, że nie żyje. To wszystko wokół... To wcale tak wyglądało.

„Kłamiesz”, orzekł wreszcie chłopiec.

„Wcale nie!”

„Kłamiesz”. Teraz był już tego pewien.

„Głupi jesteś!”

Józio odwrócił się na pięcie i ruszył do domu. Antoś postanowił uczynić to samo.

Katarzyna by go nie oszukała. Jak dorośli o niej mówili, to zawsze słyszał, że to „uczciwa i mądra dziewczyna, tylko z tym mężem z Augustówki coś jej odbiło”. A z Józia to był stary oszust. To wiedzieli wszyscy.

Zabijać się nawzajem. Phi, pomyślał Antoś.

Po co dorośli mieliby robić coś tak głupiego?

Kolejne dni nie wychodził z domu. Mama pilnowała go lepiej i gdyby nie ona, dziadek pewnie przetrzepał by mu skórę za te ucieczki. Coraz częściej schodzili razem do piwnicy. Matka mówiła zawsze, że mają tam coś do zrobienia i chce, żeby im pomógł. Ale to też bywało niekiedy dziwne, bo zdarzało się, że po prostu siedzieli między beczkami, dom nad nimi trząsał się groźnie, a słoiki spadały z regałów.

Gdy wracali na górę, Antoś wyglądał niekiedy przez okno i za każdym razem dziwił się temu widokowi bardziej. Dym nad miastem był gęstszy i gęstszy. Niebo w tamtym miejscu stawało się coraz czerwieńsze, ale tylko od spodu. Jakby coś gorało na dole, jakby słońce leżało tam, a nie na górze. Albo jakby stamtąd wstawało.

Było to piękne jak nic, co dotąd widział.

Potem... Potem słyszeli już nie tylko huk bomb. Odgłosów było coraz więcej. Cichszych, cieńszych, ale szybszych. Przypominających raptowne uderzenia kijkiem w coś metalowego.... Ratatatata. Mniej więcej wtedy przestali wychodzić z piwnicy. Nawet dziadek coraz rzadziej wyglądał.

Mama tuliła mocno Antosia. Siedzieli na starym fotelu pośród błyszczących odłamków potłuczonego szkła. A ona śpiewała mu cicho do uszka.

Maszerują strzelcy, maszerują...

Na zewnątrz dorośli grali w dwa ognie.

Ostatniego dnia trochę się uspokoiło. Wreszcie wyszli na górę. Spróbowali włączyć radio i o dziwo, działało. Znowu coś w nim mówili, ale potem nareszcie puścili muzykę. Ładną, trochę krotką, ale skoczną. Mimo to matka się popłakała.

Gdy ludzie powychodzili z domów, zobaczyli, że Siekierki zmieniły się. Wyglądały jak po przejściu wichury. Wiele domów zapadło się, a prawie całe Siekierki Małe zniknęły. Zostały tam tylko wypalone deski.

Antoś pomyślał, że to już chyba najwyższa pora, żeby dorośli dali się pobawić innym, ale oni jak zwykle nikogo nie słuchali. Mama poszła do szkoły, bo tam zbierali się ludzie. Kiedy wróciła, powiedziała, że teraz pójdą na procesję. Nigdy dotąd nie widział takiej procesji. Wzięli w niej udział wszyscy z okolicy. Także ci, którzy nie czuli się dobrze. Powłóczyli nogami, chwiali się, ale szli razem ze wszystkimi.

Byli tam też nowi, dziwni ludzie, którzy mówili niezrozumiale. Mieli na sobie mundury.

Strzelcy!

Strzelcy kazali im wejść do kościoła na Wilanowie i ich tam zamknęli. Na kilka dni i nocy. Antosowi wcale a wcale się to nie spodobało. Nie pozwalali mu się bawić z nimi, a teraz jeszcze to. To nie było w porządku.

Mama powiedziała, że to jak wakacje. Żeby był grzeczny, a co dzień, wieczorem opowie mu historię. Miał nie pytać za dużo, nie zaczepiać ludzi. Taka była cena tej historii.

Opowieści matki dotyczyły wielu rzeczy. Część Antoś znał – były to lepsze lub gorsze wersje baśni, której już słyszał, legend jak ta o smoku wawelskim, a czasem nawet kołysanek, choć powiedzianych, nie śpiewanych. Część historii dotyczyła tego, co działo się na Siekierkach. Gier dorosłych, które odbywają się raz na jakiś czas, ale dzieciom nikt o tym wcześniej nie mówi. Ich dziwnych zasad, które mogą zmienić się z dnia na dzień. Ale przede wszystkim tego, że Antoś nie powinien ich zgłębiać ani próbować zrozumieć. Że powinien słuchać mamy i dziadka i nikogo o nic nie pytać. Nikogo nie zaczepiać.

Te morały zawsze go nudziły.

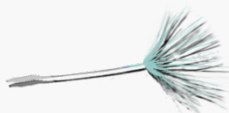
Strzelcy w szarych mundurach wygrali grę. Antosia wcale to nie zdziwiło. Dorośli na Siekierkach nigdy nie bawili się z dziećmi w dwa ognie. Nie mogli więc być w nie zbyt dobrzy.

Gdy dymy nad miastem opadły zupełnie, pozwolono wszystkim wrócić do domów. Ulice były puste, kiedy przez nie szli. Bruk na Bartyckiej pokrywała cienka warstwa popiołu, jak kurz na szafkach, z których jakiś czas nic nie zdejmowano. Starły go dopiero ludzkie stopy.

Ojciec nadal nie wracał, fabryka ceraty przestała działać, a sami z mamą i dziadkiem nie umieliby sobie poradzić w gospodarstwie. Jakby tego było mało, zmiany na Siekierkach dopiero się zaczynały.

Antoś chciał, żeby już zaczęła się zima. Żeby spadł śnieg, żeby wrócił tata i żeby poszli razem na sanki.

Miała to być najmroźniejsza zima jaką pamiętali ludzie.



Śnieg, który opadł leniwie na Siekierki był miękki i puszysty. Przesłonił wypalone ruiny, dziury w dachach i powybijane okna. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że wszystko jest niemal takie samo jak jeszcze rok temu. Gdzieniedzie tylko przypadkowy przechodzień mógłby pomyśleć, że jakiś gospodarz nie bierze swoich obowiązków zbyt do siebie i nie odśnieża obejścia.

Codziennie rano Antoś pomagał matce przyszykować się do pracy. Słońce wstawało późno, więc kiedy wychodziła, nad okolicą panował jeszcze mrok. Chłopiec robił sobie coś do jedzenia, zwykle nie było tego dużo. Czasem kanapka z masłem i cukrem, czasem sam chleb. Później zaglądał do dziadka. Staruszek zwykle jeszcze spał, zmęczony po poprzednim dniu. Strzelcy, którzy mówili w dziwnym języku kazali mu czasem przychodzić i pracować. Pewnie za karę, za to że dorośli przegrali z nimi w dwa ognie.

Potem Antoś ubierał się ciepło, nakładał czapkę, rękawiczki i szalik. Do tego czasu nad rzeką zdążyło już wstać słońce. Kiedy chłopiec wychodził na zewnątrz, oślepiały go złote refleksy, które igrały na zmrożonym śniegu. Szedł w stronę Wilanówki, a jego oddech parował na zimnie.

Chodził tam od późnej jesieni. Sprawdzał, czy rzeka już zamarzała, sprawdzał to codzienne. A kiedy już wreszcie pojawił się na niej lód, zaczął znowu badać każdego dnia jak jego grubość zwiększa się, centymetr po centymetrze. Teraz, w samym środku zimy, nie martwił się już o grubość tafli. Człowiek, choćby dorosły, mógł bez problemu po niej chodzić.

Albo jeździć na łyżwach.

Był to jedynie kawałek stali przykręcony do drewnianej podeszwy buta, ale dawał tyle radości, że potrafił przesłonić świat na cały dzień. Starsze dzieciaki mawiały na to „śniegórki” i ślizgały się po lodzie w przód i w tył, wymachując niezgrabnie rękami. Chłopaki z dziewczynami trzymali się za ręce i niekiedy miało się wrażenie, że bardziej niż o jazdę chodzi im właśnie o to. O upadki i śmiech, o wzajemne podtrzymywanie się i głośne krzyki, ilekroć ktoś z pary tracił podparcie.

Co innego Antoś. Był najmłodszy. Niższy i mniejszy od innych, ale dzięki temu łatwiej zachowywał równowagę. Dla innych skręcanie było prawie niemożliwe, on potrafił rozpędzić się, obrócić, przejechać kawałek tyłem, a potem znów odwrócić do przodu. Dorośli śmiali się z niego i bili brawo, wiedział jednak że są i tacy, jak na przykład Józio, którzy trochę mu zazdroszczą.

Gdy znalazł się przy Wilanówce, lodowisko było już pełne. Po raz pierwszy jeździli po nim nie tylko mieszkańcy Siekierek.

Mama i dziadek zabraniali mu zbliżać się do Niemców. Antoś nie miał z tym problemu. I tak nie rozumiał co mówią. No i nie wydawali się mili. Chodzili cały czas w tę albo tamtą stronę, ale nigdy nie widział, żeby któryś z nich pracował jak inni. Kiedy matka jechała rano po mąkę na wieś, żeby wieczorem móc sprzedać ją z zyskiem, mieć pieniądze na coś do jedzenia, oni tylko się kręcili. Antosia dziwił ten nowy typ dorosłych. Obiboki. Dziwił się, że nikt im tego nie wyrzuca.

Inne podejście miał Józio. Często kręcił się wokół nich i twierdził nawet, że trochę już zna niemiecki. Mógł kłamać, jak to on. Opowiadał wiele niestworzonych historii. Na przykład tę o zamknięciu szkoły. Że ponoć Niemcy przyszli i zamknęli szkołę, bo ktoś napisał w zeszycie, że Bałtyk to polskie morze. Antoś nie wierzył w te bujdy. Był za mały na naukę, ale pamiętał, że szkołę zamknęli przecież jeszcze we wrześniu, zanim przyszli Niemcy. Może i potem otworzyli znowu, owszem, ale na krótko. Chłopiec rozumował, że widać teraz postanowili zamknąć z powrotem. Pewnie przez zimę.

Tylko sprawa z nauczycielem rzeczywiście była niejasna. Po tygodniu lub dwóch od jego zniknięcia w domu, w którym mieszkał osiedlili się jacyś robotnicy z miasta. Katarzyny także brakowało. Antoś nie widział jej ani razu od czasu tamtego spotkania, gdy ciągnęła Józia przez Siekierki.

Nikt z dorosłych, poza mamą i dziadkiem, nie chciał chłopcu nic wytłumaczyć. Uważali, że jest za mały. Nawet Józio. Po jakimś czasie więcej już nie pytał.

Niemcy nad lodowiskiem nie wydawali się groźni. Śmiali się i wywracali tak samo jak inni. Odróżniały ich tylko mundury. Był tam też Józio. Siedział przy wysokim mężczyźnie, który wyglądał, jakby był tam najważniejszy.

Nie tracąc czasu, Antoś ruszył w stronę jeżdżących. Nie chciał marnować dnia, z Józkiem i tak zawsze zdąży pogadać. Zapiął śniegórki, wszedł na lód... I zapomniał się na kilka godzin.

Zupełnie nie zwracał uwagi na tłok. Lawirował między jeżdżącymi, związał się i bawił. Czasem tylko ktoś powiedział mu, żeby uważał na siebie albo przeklął, bo nie potrąca innych. Chłopiec czuł się jak ryba w wodzie. A ci wszyscy dookoła – ledwo umieli pływać. Z wyjątkiem Niemca, tego z którym rozmawiał wcześniej Józio. Ten radził sobie doskonale. Nie miał dziecięcej zwinności Antosia, ale zdawał się lżejszy od innych, pewny na lodowisku, a jego ruchy były spokojne i oszczędne.

Kiedy Józio zdejmował buty, słońce już zachodziło. Wiedział, że dzień jest krótki, ale nie że aż tak. Z pewnością matka już wróciła, a dziadek się o niego martwił. Kiedy szybkim krokiem zmierzał w stronę domu, zaczepił go Józio. Stał w towarzystwie ważnego Niemca, a za nimi Władzio Grzelec jeździł po lodzie jak nigdy dotąd.

„Antoś! Chodź no!”

Chłopiec wahał się chwilę, ale postanowił jednak posłuchać. Ten duży nie mógł być taki zły, a Józio to w końcu kolega.

„Co chcesz?” spytał.

„To jest Herman. On tu jest oficerem. Na Siekierkach.”

Herman uśmiechnął się życzliwie. Z bliska wyglądał bardzo dostojnie. Miał czarne skórzane rękawiczki, piękną czapkę i różne ordery na piersi.

„Oficerem?”

Antoś nie bardzo wiedział o co chodzi z tymi oficerami. Wiedział, że to żołnierze, tylko trochę inni.

„No, rządzi tu. Na Siekierkach.”

Chłopiec chciał mu powiedzieć, że jest głupi, że przecież na Siekierkach nikt nie rządzi. Nawet państwo z folwarku (którzy też ostatnio zniknęli) wcale tu nie rządzili, a co dopiero jakiś obcy, co nawet nie umie mówić normalnie. Ale nie chciał się kłócić, tak przy wszystkich.

„Aha”, powiedział tylko.

Herman uśmiechnął się i rzucił kilka słów po swojemu. Język brzmiał twardo, nieprzyjemnie.

„Mówi, że szybko jeździsz. Że jesteś odważny.”, przetłumaczył Józio.

Chłopiec wzruszył ramionami. Wskazał ręką na buty, w których Władek Grzelec wywijął na lodowisku. Widział je wcześniej na nogach Niemca.

„Powiedz mu, że ma ładne buty.”

„To łyżwy”, zaśmiał się Józio. Ale przetłumaczył.

„Mówi, że mu takie zrobili u niego na wsi. Na Śląsku. Za mały do nich jesteś, ale powiedział, że może jak urośniesz, to ci da przymierzyć. Jak Władziowi.”

Antoś spojrzał na kolegę, zdziwiony.

„Aż tak długo chce tu zostać?”

Tego Józio nie chciał przetłumaczyć.

Na wiosnę Niemcy przyszedli zabrać wszystkie radia. Nastąpiło to tuż po zapowiedzi matki, okraszonej mętnym tłumaczeniem, którego Antoś już nawet nie próbował zrozumieć. Nie podobała mu się taka zabawa.

Krótko potem wrócił ojciec.

Kiedy śnieg stopniał, na Siekierkach zaczęło pojawiać się coraz więcej obcych. Dziadek mówił na nich „dziady proszalne” i zawsze śmiał się, kiedy Antoś pytał, czy to jakaś rodzina, że ich tak nazywa. Dziady chodzili po domach i prosili o jedzenie albo pieniądze. Wyglądali nieprzyjemnie, w brudnych zniszczonych ubraniach, często o rękach w temblaku i nieładnych, pełnych blizn twarzach. Byli bardziej żałośni niż groźni, ale Antoś bał się ich.

Chłopiec całe dni przesiadywał na podwórku. Wdrapywał się na drzewa, z czubków których obserwował piękne, srebrne samoloty, latające nad rzeką. Ponoć trenowali tam lotnicy. Chłopiec machał im, ale chyba go nie dostrzegali. Kiedy indziej bawił się ze zwierzętami. Szczególnie lubił ganiać kury, choć zdarzyło się, że i one, przyparte do ściany, pogoniły jego. Niekiedy też chodził po wodę, co było dobrą okazją, żeby spotkać się z Józkiem. Poza nim nie miał za wielu przyjaciół.

Józio dużo czasu spędzał u Niemców. Pokazywał im swoje zabawki z drutu i, jak twierdził, zdarzało się nawet, że je sprzedawał. Niestety przez to coraz rzadziej znajdował czas na zabawy. Kiedy kolegi nie było, Antoś wolał siedzieć w domu niż wychodzić. Młodszych rodzice nie puszczali tak chętnie jak wcześniej, a ze starszymi nie miał co robić. Do swoich zabaw nie chcieli go dopuszczać.

Raz tylko spróbował. Poszedł ze starszymi do chłopaka Reynerów, wysokiego i trzymającego się dumnie młodzieńca. Mówili na niego jakoś tak dziwnie „woksdojcz”, czy „folksdojcz”. Też miał mundur, taki jak Niemcy, chociaż był z Siekierek. Jego rodzice mieszkali w starej rządówce pod wałem i podobno teraz oni też byli Niemcy.

Jak już tam poszli, to ten chłopak dał każdemu przymierzyć swój strój. Wkładali go wszyscy po kolei, ale Antosiowi nie chcieli dać. Kiedy wreszcie się zgodzili, sama marynarka przykryła go aż do stóp. Jeszcze zapas wokół nóg został. Wszyscy się z niego śmiali, a na koniec młody Reyner go skrzyczał, że mu mundur brudzi.

Wolał więc dom i towarzystwo Asa. As był duży, puszysty i ciepły. Nigdy się nie śmiał, słuchał uważnie co się do niego mówi i patrzył, jak gdyby wszystko rozumiał. Miał też wielką budę, w której chłopiec i pies mogli się zmieścić bez problemu. Kiedy przychodziły dziady albo było deszczowo, Antoś chował się do budy i mocno przytulał do Asa. Zrobił tak również w dzień powrotu ojca.

Człowiek, który przyszedł do ich domu wyglądał dość zwyczajnie. Jak na proszalnego dziada. Nosił długi zimowy płaszcz pełen niepołatanych dziur. Pod spodem miał gruby zszarpany sweter, a na głowie włosy pozlepiane i brudne, tak że nie sposób było powiedzieć czy są czarne, czy brązowe. Opierał się na dwóch drewnianych kulach i szedł powoli, powłócząc prawą nogą. Kiedy zobaczył Antosia, krzyknął coś i ruszył w jego kierunku. Chłopiec poczuł zimne ukłucie lęku na karku i natychmiast pobiegł do budy, do Asa. Pies wyskoczył na zewnątrz i zaszczekał głośno.

Matki nie było, ale w domu siedział dziadek. Antoś miał nadzieję, że obcy zorientuje się, że nic tu nie dostanie i pójdzie swoją drogą. Tak się jednak nie stało. Zobaczył jak mężczyzna wdrapuje się na schody i wchodzi do środka. Do domu. Antoś zadrżał i schował się jeszcze głębiej.

Wyciągnęli go dopiero, kiedy wróciła matka. Cała rodzina zebrała się przy stole, jakby proszalny dziad był jakimś wielkim gościem. A potem padły słowa, które zabrzmiały tak radośnie, a zarazem obco: „ojciec wrócił”.

Rzeczywiście, był tam. Pod zmarszczkami i strupami, pod spaloną przez słońce i zniszczoną przez mróz twarzą znajdował się ten sam ojciec, który pół roku wcześniej wymknął się rankiem z domu. Taki sam. Te same ruchy, gesty. Ten sam uśmiech.

Tylko jego oczy zdawały się smutniejsze.

Ludzie na Siekierkach znikali. Sposób w jaki to się działo z początku unikał uwagi Antosia, ale nie mogło tak być w nieskończoność. Prędzej czy później zaczął coś podejrzewać. A zaczęło się znowu od Katarzyny.

Kiedy nadeszło lato i słońce przygrzewało ciepiej, wszyscy chodzili kąpać się nad Wilanówkę. Jednak ludzie z Siekierki, z Warszawy, a nawet Niemcy, którzy po wyjściu ze szpitala trenowali na fortach. Nad rzeką panowała niemal pełna komitywa. Żołnierze częstowali młodych Polaków papierosami i zaczepiali dziewczyny. Tutaj chłopcy w mundurach zdawali się różnić od swoich rówieśników tylko tym – mundurem. Antek nie był głupi. Wiedział, że na co dzień nie tylko jemu matka każe unikać Niemców. Jednak na kąpielisku dystans zanikał, jakby woda zmywała bariery.

Józio nauczył się palić papierosy, żołnierzy to bawiło. W ogóle spędzał w ich towarzystwie sporo czasu. Wciąż jednak pozostawali z Antosiem kolegami i grali nad rzeką w różne gry. Na przykład w hacele.

Hacel to było coś w rodzaju śruby, ale używanej przy podkuwaniu koni. Dziadek powiedział, że to takie śruby, które przykręca się koniowi do łapek, znaczy kopyt, żeby koń się nie ślizgał. Sama podkowa była zupełnie płaska i na przykład na bruku nie dawała zwierzęciu dobrej przyczepności. Od tego były hacele.

Zdobywali je od kowala. W okolicy było wielu dorożkarzy, podobnie jak i koni, więc pan Jaskółkowski zwykle miał jakieś stare, zardzewiałe, powyginane albo pęknięte i chętnie je oddawał. W grze chodziło o refleks, zwinność i pamięć. Zatem zawsze komuś brakowało przynajmniej jednego z nich. Hacele kładło się na ziemi. Początek gry był prosty. Należało wziąć jedną śrubkę w rękę, następnie podrzucić ją do góry, w tym czasie wziąć kolejną z podłoża i trzymając ją w dłoni zaraz złapać spadającą. Później poziom trudności rósł. Zbierało się dwa, trzy, cztery, w końcu wszystkie, a potem trzeba było jeszcze chwycić ten, który się podrzuciło. Kto skusił – nie złapał, zebrał za dużo albo za mało – tracił kolejkę i oddawał hacele przeciwnikom. Gdy zabawa stawała się za prosta, udziwniano ją na wszelkie możliwe sposoby.

Antoś trzymał w dłoni trzy śrubki, z których podrzucić miał jedną, a dwie pozostałe postawić na ziemi. Józio patrzył na niego ciekawie. Przegrywał dokładnie trzema punktami i od tego rzutu mogło zależeć, kto wygra.

Na swoją kolejkę czekała także mała Marysia, wnuczka starego Janusza z folwarku. Dawny lejtnant od przybycia Niemców chorował i nie wychodził z domu. Pozostali pływali w rzece.

Chłopiec podrzucił hacale i zaraz bez trudu złapał każdą z nich. Józio westchnął. Nie lubił przegrywać.

„Zagrajmy w rzucanie wszystkich”, powiedział, licząc chyba na rewanż.

Rzucenie i złapanie jednego, czy nawet dwóch haceli, nie było trudne, ale już trzech albo czterech naraz tak. A to dawało najwięcej punktów.

Zagrali.

„Widzieliście Katarzynę?”, spytał Antoś, kiedy Marysia wykonała już pierwszą kolejkę.

„Nie”, stwierdził Józio. „Już od dawna.”

Marysia pokręciła tylko głową.

„No właśnie”, nie poddawał się chłopiec. „A przecież wszyscy kąpią się w rzece.”

„No i?”

„Katarzyna uwielbia się kąpać. Opowiadała mi, że nawet po ślubie z Mateuszem chcieli przyjąć tu popływać. Zawsze była pierwsza nad Wilanówką. Przychodziła nawet kiedy jeszcze było zimno.”

„...Może już nie lubi. Nie wiem”, stwierdził Józio, dziwnie niespokojny.

Antoś wyczuł wahanie w jego głosie. Marysia z kolei nie odzywała się wcale. Miał wrażenie, że coś przed nim ukrywają. Nie lubił, kiedy traktowano go inaczej tylko dlatego, że był najmłodszy.

Wracając do domu, uświadomił sobie, że nie tylko Katarzyny brakowało.

Postanowił zrobić spis.

Skompletowanie listy okazało się niestety trudniejsze, niż to z początku wyglądało. Była oczywiście Katarzyna, nauczyciel, Mateusz, czyli przyszły mąż Katarzyny i... No właśnie. Nie brakowało takich, którzy zniknęli, ale po pierwszym tygodniu złapał się na tym, że niektórzy wracali.

Oto Antoś szedł gdzieś i wypytywał, o tych, co ich dawno nie widział. Niby że mama albo dziadek czegoś chcą. Spodziewał się, że nikt mu nie powie prawdy, więc

wciągał na listę imiona tych, którzy „Nie mogli i nie będą mogli przyjść. Tak powiedz mamie.” Nie umiał pisać, więc wszystkich musiał zapamiętywać. I oto jakiś czas później okazywało się, że osoba ze spisu chodzi sobie normalnie po Siekierkach. Czasem była obita na twarzy, czasem zdawała się zmęczona, ale jednak wracała, więc z tym znikaniem to faktycznie coś nie grało. Nawet Mateusz wrócił. Ale pytany o Katarzynę, nigdy nie reagował dobrze. Zawsze kazał Antosiewi iść sobie, nie przeszkadzać mu.

I tak na liście pewne były tylko dwa imiona. Katarzyny i nauczyciela. A to wydawało się za mało.

Przed końcem lata wydarzyło się coś dziwnego. Antoś wracał z kąpieliska, gdzie grali akurat w cztery fajerki. Była to kolejna z zabaw, w których najpierw trzeba było pochodzić po okolicy i zdobyć stary domowy sprzęt. Fajerka należała do elementów kafłowego pieca i składała się ni mniej, ni więcej z okrągłego, metalowego talerza. Talerz ten należało za pomocą kijka prowadzić jak najdłużej na krawędzi, tak by się nie przewrócił. Józio radził sobie w tym znakomicie i coraz częściej zachęcał wszystkich, żeby wybrali właśnie fajerki zamiast haceli. Tamtego dnia także wygrał i Antoś wracał do domu z mocnym postanowieniem, że następnym razem to on okaże się lepszy.

Dochodziła właśnie pora obiadowa, matka powinna podać ziemniaki albo chociaż chleb i jakiegoś kompotu, ale nie zrobiła tego. Siedziała tylko przy stole i patrzyła w blat. Dziadek skrobał coś w kącie, uparcie unikając spojrzenia Antosa.

Nigdzie nie było ojca.

Chłopiec zaraz zaczął wypytywać co się stało, ale jak zwykle nikt nie chciał mu nic powiedzieć. Krzyknął więc na mamę, choć nie powinien tego robić i obrażony wybiegł na zewnątrz, do Asa, do jego budy. Ale miejsce tam było już zajęte.

Na posłaniu Asa siedział ojciec.

Z ulicy słychać było niezrozumiałe głosy. Takie jak wtedy, wiosną, kiedy Niemcy przyszli zabierać radia.

„Antosiu”, szepnął tata. „Idź do domu”.

„Nie, ja chcę do budy”, powiedział chłopiec. „Ja chcę do Asa. Czemu tam siedzisz?”

„To zabawa, Antoś, kolejna zabawa”.

„W chowanego?”, spytał podejrzliwie. „Bawicie się w chowanego?”

„Tak, Antosiu”.

„Kto szuka?”

„Oni”.

„A potem ty ich będziesz szukał?”

„Tylko, jeśli mnie nie złapią”.

Antoś, kiwnął głową niepewnie i odwrócił się w stronę domu.

Niemcy przyszli niedługo potem. Był z nimi syn Reynera, ten o dziwnym przezwisku, co też nosił mundur i znał ich język. Rozmawiali z matką i dziadkiem, chodzili nawet po podwórku, ale do budy nie zaglądali. Wypytywali o tatę, mówili coś o wojsku i pytali, czy wrócił. Zabawa w chowanego chyba nie na tym powinna była polegać, pomyślał chłopiec. Nie powinni pytać. Oszukiwali i nawet się z tym nie kryli.

Wieczorem, przy kolacji dziadek, mama i ojciec uparcie trzymali się tej samej wersji. Że to tylko taka zabawa.

Tylko jedna rzecz tu nie pasowała. Drżący głos taty, kiedy tłumaczył mu to ze środka budy. I jego spocona ze strachu twarz. Nie po raz pierwszy widział coś podobnego.

W tym wszystkim za dużo było lęku. Ludzie za bardzo bali się tych „zabaw”

Antoś zaczął się zastanawiać, ile prawdy jest w tym, co mówią rodzice.



Dwa lata po wejściu Niemców fornał Mateusz ożenił się z dziewczyną, która swoim żartem uratowała mu życie. Nie miała na imię Katarzyna, ale też pochodziła z Siekierok.

Wcześniej musieli pójść do Hermana, dowódcy Niemców, żeby zgodził się na wesele. Poszła cała delegacja. Byli tacy w okolicy, którzy Hermana nienawidzili. Ale byli też tacy, którzy mówili, że to najlepsze co mogło ich spotkać.

Na wesele nie zaproszono wielu ludzi. Z rodziny Antosia nikogo, chociaż wiedział, że gdyby był to ślub Katarzyny, poszliby na pewno.

Mateusz i Zosia pobrali się w kościele na Czerniakowie. Na zabawie potem była wódka, orkiestra i tańce. Wszystko mniejsze i cichsze niż zwykle, ale udało się bardzo dobrze.

Na drugi dzień państwo młodzi zanieśli Hermanowi trochę jedzenia i alkoholu i cicha wieść mówiła, że dziękował im tak bardzo, że się popłakał. Mówił, że też nie chce wojny, ale w końcu nie miało to większego znaczenia.

Antoś znał już wtedy znaczenie słowa „wojna”. Fajerwerki, zabawa w dwa ognie i chowanego nie mogły służyć za wytłumaczenie wiecznie.

Mateusz poznał się ze swoją żoną, gdy razem jeździli na wieś, kupić coś na handel. Miała na imię Zosia i mieszkała niedaleko Józia. Choć na zabawie Antoś nie był, to dobrze znał tę opowieść.

Podczas wypraw Mateusz i Zosia lubili płatać sobie różne figle. Podrzucać coś do worków albo baniek, które nieśli, straszyć się z zaskoczenia i inne tym podobne „głupstwa”, jak mówili starsi.

Raz, kiedy byli na wsi, do osady weszli Niemcy, nie ci, znani. Obcy, źli. Szukali kogoś i ponoć niejednego tamtego dnia musiał pójść razem z nimi. Wbiegali do domów, często wyważając przy tym drzwi.

Mateusz i Zosia przebywali u jednego z gospodarzy. Chcieli uciec przez okno z tyłu budynku. Gotowi zniknąć, zanim ktokolwiek zauważy, że w ogóle tam byli. Tylko, że Zosia zaszyła Mateuszowi rękawy w kurtce. I gdy zerwał się z krzesła, żeby po nią sięgnąć, nie był w stanie założyć ubrania na plecy. Stresował się tak bardzo, że próbował wciąż i wciąż. A Zosia... Zosia zaczęła się śmiać. Tak bardzo, aż upadła na ziemię, chichocząc i trzymając się za brzuch. Pokładała się na podłodze, zupełnie zapominając o zagrożeniu.

I tak zastali ich Niemcy. Oni też się śmiali.

Zosia i Mateusz pobrali się rok później, a niedługo potem urodziła im się dziewczynka.

Przez cały ten czas Katarzyny nikt nie widział. Ludzie dawno przestali na nią czekać.

W czterdziestym czwartym roku, latem, ojca już nie było. Któraś z zabaw w chowanego nie wyszła dobrze i Niemcy zabrali go do obozu pracy. Do ogrodzonych kolczastym drutem duchów, chudnących z dnia na dzień, dopóki nie rozplynęły się wreszcie w powietrzu.

Antoś wciąż wstawał co dzień rano, ale teraz po odprowadzeniu matki nie chodził już się bawić. Wracał do dziadka. Siadali razem przy stole i szykowali potrzaski na ptaki. Dzikie gołębnie i wrony.

Ze zwierząt w obejściu został tylko As. Ostatnią kurę zjedli dawno temu.

Pułapki wyglądały trochę jak te na szczury, tylko większe. Kiedy indziej było to po prostu kilka desek, podpartych kijem. Gdy zwierzę łapało za przynętę, kij przewracał się, a deski opadały.

Po przygotowaniach szli na obchód. Najlepiej było robić to jeszcze przed wschodem, zanim okolica obudziła się ze snu. Niemcy odgrążali się czasem dziadkowi, że w końcu go zastrzelą. Czasem oprócz ptaków w pułapki łapali się także żołnierze. Samotrzaski kaleczyły nogi i stopy co mniej uważnych, a to nikomu nie mogło się podobać.

Przed wzejściem słońca było pusto nawet na fortach, gdzie więźniowie mieli roboty i łatwo dało się pokonać wielkie połacie Siekierkowskich pól, nie wpadając nikomu w oko.

Gdy któreś z wnyków były pełne, dziadek, Antoś i mama mieli ucztę. Jeśli nie, rarytasem był chleb. Zdarzało im się jeść cienką zupę z dwóch małych ziemniaków na cały gar.

Dzieciaki nadal się bawiły. Chodziły się kąpać, grały w hacele, łowiły nawet rybki „na kija”. Wystarczyła witka i kawałek żyłki. Zwykle podobna wędka była dobra tylko na drobnicę, jednak odrobina determinacji i spore zasoby czasu pozwalały osiągać niezgorsze wyniki. Coraz częściej jednak nad wszelkimi zabawami górę brały obowiązki.

Józio przestał sprzedawać swoje zabawki z drutu i uczył się na łącznika. Chodził dumniej, jakby poznał jakąś wielką tajemnicę. Stał się też bardziej uprzejmy i grzeczny. Co dzień chodził na naukę do dyrektora Budzanowskiego i ponoć oprócz szyfrów przyswoił też wiele innej wiedzy. Teraz nie chciał już przyjaźnić się z Niemcami. Chciał z nimi walczyć.

Herman razem ze swoimi ludźmi został przeniesiony, a ci którzy przyszli na ich miejsce byli obcy, dalecy. Nie zamierzali też tego zmieniać. Okolica zrobiła się poważniejsza. Nikt już nie łudził się, że ktoś pozwoli tu jeszcze na wesele albo zabawę.

Jakiś czas potem w mieście wybuchło powstanie i resztki mitu spokojnych Siekierok upadły ostatecznie.

Dym i huk wzniosły się nad miastem, a następnego ranka Antek wrócił z obchodu pułapek sam. Dziadek został przy wnykach. Tam, gdzie dojrzeli go żołnierze, krótko przedtem jak zaczęli strzelać. Chłopiec wrócił do domu z dzikim gołębiem. Przynajmniej mieli z matką co zjeść.

Tego samego dnia Antek pierwszy raz zobaczył łapankę. Ludzi zbierano wprost z ulicy i spędzano pod krzyż. W ciszy, przetykanej jedynie stukotem żołnierskich butów. Potem więźniów zawieziono w stronę szkoły. A potem już nic o nich nie było wiadomo.

Wszystkie wspomnienia z tego okresu zlały się w jedno.

Pod koniec sierpnia mężczyznom z okolicy kazano stawić się u Niemców. Dzień ten pamiętał później każdy, najmłodszy nawet Siekierczanin. Byli tacy, co się stawili, byli tacy co zamiast tego uciekli w stronę Wilanowa. Antek z matką należeli do tych ostatnich.

Uciekających był cały tłum. Długo szli w ciszy, paleni upalnym słońcem lata.

„Antosiu”, odezwała się mama. Niosła na plecach spory tobołek. Pot ściekał jej z twarzy, wyglądała na bardzo zmęczoną.

„Mamo?”, spytał spokojnie chłopiec. Miał sporo sił, których dotąd w sobie nie znajdował. Smuciło go tylko, że musieli zostawić Asa.

„Nie martw się”, zaczęła. „To tylko taka zabawa. Jak w podchody. Jak...”

„Mamo...”, przerwał jej.

„Tak?”

„Nie mów nic”, poprosił. „Już nic nie mów.”

Wszystko już wiedział. Wiedział, że Katarzyna nigdzie nie uciekła, że cała jej historia zakończyła się wtedy we wrześniu, kiedy weszli Niemcy. I że nie było dla niej już nic potem. Tak jak dla nauczyciela, który wcale nie wyjechał szukać pracy gdzie indziej. Dla starego Janusza. Babci Eli, która ponoć robiła świetne nalewki. Dla wielu innych też.

W ich zniknięciach nie było żadnej tajemnicy.

Idąc tak razem z pozostałymi Antek pomyślał, że może na tym właśnie polega dorastanie. Na traceniu rzeczy prostych. Złudzeń, małych i dużych.

Za kilka tygodni Antek kończył osiem lat.

Jeśli było tak jak myślał, to czuł się już bardzo dorosły. Wcale mu się to nie podobało.

„Mamo”, powiedział. „Zanuć strzelców, dobrze?”

I zanuciła.

